Rok 1898. Lwów, dnia 20. czerwca. Nr. 24.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

GUSTAW MANTEUFFEL

PIERWIASTKI CYWILIZACJI NAD DOLNĄ DŹWINĄ.

I.

Dawne kraje inflanckie stanowiły, jak wiadomo, kolonję zachodniego chrześcjaństwa nad Bałtykiem. Zależne od władz, które w owym czasie niemal bezustannie pomiędzy sobą o panowanie walczyły — od papiestwa i rzymsko-niemieckiego cesarstwa *) — kraje te i przeszłość ich burzliwa nie dają się pojąć zgoła bez uwzględnienia ówczesnego położenia kościoła w Europie zachodniej. Zależną zaś była kolonja nadbałtycka od macierzystego Zachodu pod wielu względami: w rozwoju stosunków prawnych, w rozwoju literatury i sztuki. Są to latorośle odnośnych zjawisk na Zachodzie, który wraz ze światłem wiary rzymsko-katolickiej przeniósł tu także pierwiastki swej cywilizacji, odrębnej zupełnie od wschodniej.

Ryga doszła wcześnie do autonomi i t. j. do niezależności od władzy świeckiej biskupów, którym swe istnienie zawdzięcza. Już w roku 1225 posiadało miasto to własną radę, używało własnych praw, a mianowicie: własnego sądownictwa, administracji, praw dominialnych, a nawet prawa nakładania podatków i innych. Za normę przyjęto w Rydze prawo gotlandzkie, t. j. prawo, obowiązujące kolonistów zachodnich, zamieszkujących wyspę Gotlandję. Jaka była właściwie forma owego prawa, dotąd jeszcze nie zostało dociekzone. Na samej wyspie Gotlandji nader późno przystąpiono do ustalenia za pomocą pisma miejscowego prawa; w Rydze zaś zostało ono pomnożone niezbędnemi dodatkami. Następnie wprowadziła ryska rada miejska prawo hamburskie, a mianowicie statut hamburski z roku 1270.

Natomiast w Rewlu trzymano się prawa, obowiązującego w Lubece. Prawem tem obdarzył miasto Rewel król duński, Eryk IV., w roku 1245, a dalszą jego używalność potwierdził dla Rewla mistrz inflancki, Goswin Herike.

Zbiór ustaw, uzupełniających prawo miejskie, nazwano *Civiloquium*, a po niemiecku *Bursprake*.

*) Cesarstwo niemieckie na tych oddalonych wybrzeżach wpływy swoje tylko rzadko odczuwać dawało, papiestwo zaś stale tu dążyło do urzeczywistnienia nowej, a wielkiej myśli cywilizacyjnej.

W Estonji ustaliło się z biegiem czasu prawo lenne. Tu zamieszkiwali przeważnie lennicy niemieccy, tu też w r. 1305 wprowadzone zostało przez duńskiego króla, Eryka VI., tak zwane „prawo lenne Waldemara i Eryka“. Przystosowywano je dobrowolnie i w wielu innych częściach dawnych Inflant pod nazwą najdawniejszego prawa rycerskiego, wszelako z odmianami. Prawo ozylijskie, obowiązujące także i w prowincji Wik na lądzie stałym, tudzież tak zwane „średnie prawo rycerskie“ *(Das mittlere Ritterrecht)*, są to tylko opracowania znanego powszechnie „zwierciadła saskiego“.

Najdawniejszy kadastr, jaki się o tych krajach aż do dni naszych dochował, dotyczy Estonji *(Liber census Daniae de an.* 1240).

W pojedyńczych miastach utrzymywano porządek i urządzano stosunki handlowe wedle statutów zawartych w najrozmaitszych księgach miejskich. Wiele z nich przechowało się aż do dni naszych: księgi hipoteczne i dotyczące zaciągania pożyczek, księgi dotyczące własności dziedzicznej i t. p. Badacze dziejów inflanckich czerpią z tych zabytków nietylko bardzo poważny materjał do historji prawodawstwa ale i do historji miejscowej kultury. Wymieniają one bowiem co chwila imiona miejscowości i osób najrozmaitszych, rzucają niemało światła na przeszłość miast tutejszych i ich mieszkańców, na dawne budownictwo, na mennictwo i t. p.

Obok zapisek historycznych i kronik, tworzą liczne ówczesne dokumenty podstawę do poważnego i bezstronnego badania dziejów.

O ile dochowały się one aż do dni naszych w zbiorach jużto publicznych, już prywatnych, starannie zostały nagromadzone i ogłoszone (do roku 1443) w cennem dziele *Liv- Est- und Cürländisches Urkundenbuch* (tomy I — VI, wydane przez F. G. Bunge'go, tomy VII — IX, przez H. Hildebranda); regestry zaś, czyli spisy wszelkich dokumentów inflanckich (od roku 1200—1570) z wynotowaniem ich treści skróconej, sporządził już w roku 1833 pod tytułem *Index*, zasłużony badacz przeszłości krajów inflanckich C. E. Napiersky, założyciel

Towarzystwa historycznego *Gesellschaft für Geschischte und Alterthumskunde der Ostseeprovinzen Russlands*, mającego swe stałe siedlisko w Rydze.

II.

Już w czasie swego tworzenia się znalazła kolonja nadbałtycka własnego dziejopisarza. Jest nim słynny Henryk, błędnie nazywany „Łotyszem“, gdyż był tylko kaznodzieją i nauczycielem Łotyszów. Wychowaniec wielkiego biskupa, Alberta I., założyciela Rygi, został on tu w kraju kapłanem już w roku 1208. Znał biegle główne języki krajowe, łotewski i estoński; napotykamy go częstokroć przy boku władców tutejszych; to też o wielu ważnych wypadkach opowiadać nam może, jako świadek naoczny.

Oprócz tego w opowiadaniach swoich zawdzięcza nie mało rozgałęzionym stosunkom, jakie posiadał w różnych sferach społeczeństwa nadbałtyckiego, przytacza każdorazowe źródło (np. pewnego księdza Jana), ma wstęp do archiwum biskupiego, z którego zawsze umiejętnie korzysta.

Rozpoczyna od losów błogosławionego Mejnarda, oraz jego następcy Bertolda i doprowadza swe opowiadanie do roku 1227, a więc nie do samej śmierci Alberta, która zaszła w dniu 17. stycznia 1229 roku. Bezstronność jego podziwiają nawet protestanci, przyznając mu ją jednozgodnie, pomimo, iż był kapłanem katolickim. Dzieje opowiada poprostu, wcale niezłą łaciną, szeregiem lat panowania biskupa Alberta, opierając się na całkiem pewnych danych chronologicznych. Opisuje sumiennie wiek bohaterski dziejów inflanckich, szkoda tylko, że je już na roku 1227 urywa.

Nie zdołał on zapewne zachować dobrego stosunku względem następcy Alberta, Mikołaja I., gdyż ze wstąpieniem jego na katedrę inflancką dzielny dziejopisarz, Henryk, znika całkowicie z widowni. Atoli dokument z roku 1259 dowodzi w sposób niewątpliwy, iż żył on jeszcze w roku wspomnianym i w tym czasie sprawował obowiązki proboszcza wiejskiego w Papenhofie, na pograniczu włości łotewskich z estońskiemi. Człek wtedy bardzo już wiekowy, musiał niebawem potem zejść z tego świata. Oryginał jego cennego dzieła znajduje się w ręku polskim; należy bowiem do rzadkości bibljoteki ordynackiej Zamoyskich w Warszawie.

Z innych całkiem kół pochodził autor najdawniejszej inflanckiej kroniki rymowanej, przypisywanej niegdyś przez wielu uczonych inflanckich mieszczaninowi rewelskiemu, Ditlepowi Alnpeke, co wszelako (wedle najnowszych studjów, dokonanych przez słynnego badacza kronik inflanckich dra Jerzego Berkbolca) grubym jest błędem, gdyż ów Alnpeke nie był wcale kronikarzem i przyszedł na świat o kilka wieków później, niż autor powszechnie znanej kroniki rymowanej. Lubo nazwisko jego i dotąd jeszcze pozostaje tajemnicą, nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że należy go szukać pomiędzy rycerzami krzyżacko-inflanckiego zakonu, nie zaś w pośród mieszczan rewelskich ani też osób duchownych.

Kronikę swoją, zawierającą wierszy 12.017, doprowadza ten autor do roku 1290, a rozpoczyna ją od czasów najdawniejszych, w których atoli mąci i plącze niesłychanie, gdyż oczywiście nie zna ówczesnej pracy Henryka, zwanego „Łotyszem“. Pisał swą kronikę rymowaną w narzeczu dolno-niemieckiem wkrótce po roku 1290 i dał dowód niepospolitego talentu rymotwórczego, a nawet poetyckiego, gdyż ściśle chronologicznie ułożone opowiadanie dziejów miejscowych umiał ożywić pięknemi rysami, do swych opisów umiał wciągnąć przyrodę i życie ówczesne. Wojennej odwadze, szlachetności i waleczności prawdziwej nawet u nieprzyjaciela oddaje on sprawiedliwość. Od roku 1280 bywał naocznym świadkiem większych części opowiadanych przez siebie wydarzeń dziejowych. Przy opisach wcześniejszych wypadków ucieka się zdolny kronikarz nietylko do rozlicznych podań ustnych, ale także i do źródeł piśmiennych. Nazwisko jego pozostało dotąd nieznane.

Rocznikarstwo, a z niem i nekrologja (spisy umarłych) i t. d. prowadzone tu bywały od wieków, lubo do dni naszych przechowały się z nich tylko same urywki; są to przeważnie fragmenty roczników djamenckich i ryskich.

W wieku XIV. znalazła opisana tu przez nas kronika rymowana wiernego naśladowcę w osobie inflancko-krzyżackiego kapłana, Bartłomieja Hoenecke, rodem z Osnabruku, który ją prowadził dalej aż do swoich czasów. Atoli jej oryginał dotąd jeszcze nie został odnaleziony. Przechowały się z niej tylko wyciągi, pisane prozą przez Reunera*), Hoeneke tworzył swe rymy prawdopodobnie w narzeczu dolno-niemieckiem.

Kronikę łacińską, piękną prozą pisaną, zawdzięczamy również krzyżacko-inflanckiemu kapłanowi, Hermanowi de Wartberge. Doprowadza ją autor aż do swoich czasów, do roku 1378.

Pomijamy źródła mniej ważne.

O początkach sztuki dramatycznaj w dawnych krajach inflanckich, znachodzimy niektóre cenne uwagi u tak zwanego „Henryka Łotysza“, który pod rokiem 1205 zaznacza, jako w owym roku, w czasie wielkiego postu, dawane były w Rydze ciekawe widowiska, których treść zaczerpniętą była u Proroków i jako wszystkie przedstawiane epizody objaśniał ciekawym widzom tłómacz. A gdy przyszło do przedstawienia boju Gedeona z Filistynami, lud rozpierzchnął się na wszystkie strony, sądził bowiem, że w przedstawianej walce może z łatwością i widz zostać zabity.

O literaturze tubylców nie może być zgoła mowy w owych czasach, lubo nie ulega wątpliwości, że nie brakło takowej rozmaitym plemionom zaludniającym wybrzeża nadbałtyckie; tylko żaden z tych płodów nie został nam przekazany. Atoli pieśni gminne, gromadzone

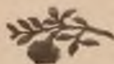
---

*) Rękopis oryginalny Rennera nosi tytuł: „Lifl. Historien uegen boker“. Odnalazł go w roku 1870 przypadkiem bibljotekarz J. G. Kohl w Bremie, wydanym zaś został w roku 1876 w Getyndze przez dorpackiego profesora Ryszarda Hausmana, tudzież p. K. Höhlbauma. Renner był czynnym notarjuszem w Bremie i Spirze, gdzie się znajdowała izba skarbowa ówczesnego cesarstwa niemieckiego; służył od r. 1556—1560 u wójta krzyżacko-inflanckiego estońskiej prowincji Jerwe, następnie był pisarzem czyli sekretarzem n komtura parnawskiego i umarł zapewne w r. 1584. Układając kronikę, zdołał zużytkować swą znajomość kraju i zawikłanych stosunków ówczesnych. Powyciągał on nie mało ze starszej kroniki rymowanej, oraz z nowszej Hoeneckego, ale pisał prozą.

tu i ówdzie z ust ludu, dowodzą dosadnie, iż niektóre z nich sięgają głębokiej starożytności, której mają wszystkie cechy *). Najciekawszą jest epopeja ludowa szczepu estońskiego „Kalewipoeg“, noszącą na sobie częstokroć piętno dalekiej starożytności. Cały zakrój zbliża ją do „Kalewali“ Finnów, której bogata treść powszechnie jest znana Wiadomo zresztą, że najstarsze tradycje brzmią w pieśniach ludowych w okół Bałtyku, rozpościerając się stąd ku Karpatom, Dnieprowi i Dunajowi, i że Północ, kolebka dzisiejszych ludów Europy, posiada dotąd jej archiwa poetyczne i muzykalne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Obacz „Listy z nad Bałtyku“, Kraków, 1885, str. 24—29.



EROTICA.

Marji K. poświęcone.

I. Czekałem ciebie.

Czekałem ciebie. Młode pacholę
Postaci z baśni łaknąłem czystej
Z gwiazdą anielstwa jasną na czole,
Z głową, spowitą w tęcz aureole.
Coby mi była, jak stróż świetlisty
W życia odmętach, w walki potrzebie:
Czekałem — ciebie.

Czekałem ciebie. Młodzian, w tęsknocie
Widziałem Białą, Słodką i Cichą
Tuż obok siebie w czarownej grocie,
Złączoną ze mną w uniesień splocie,
A będąc ciałem, była i Psychą,
A ja na ziemi — czułem się w niebie:
Czekałem — ciebie.

Czekałem ciebie. Siły kolumny
Strzaskały we mnie pioruny bytu,
I w proch giąć jęły czoło me dumne,
I część po części serca kłaść w trumnę.
A ja o duszy śniłem z granitu,
Aby się zrość z nią po słud pogrzebie:
Czekałem — ciebie.

II. Tęsknota.

Płomieni z nieba fala gorąca
Spływa na twarz mą, jak żar lawiny,
A pytać muszę: czy to od słońca,
Czy od całunków mojej Jedynej...

Z za drzew mnie piosnka cicha dolata,
Jako słowicze słodka poranki,
A pytać muszę: rzesza skrzydlata
Śpiewa tu, czy głos mojej Kochanki...

Wonna mnie fala odurza,
I pieści zmysły zapach jej słodki,
A pytać muszę: jest-że tu róża,
Czyli też tchnienie mojej Pieszczotki...

Szukam cię wszędzie duszy oczyma:
Darmo się życie piętrzy i kłębi,
Darmo na szczytach szukam i w głębi...
Wszędzie cię czuję, nigdzie cię nie ma!

III. „Na gałązce jaśminu“...

Ten jaśmin, ten jaśmin śle woń tak namiętną,
Że budzi zawroty i dreszcze,
Jak w ową noc marzeń pamiętną,
Noc ekstaz bez słów —
Noc czarów i snów —
Dziewczyno, jaśminu, ach! jeszcze!

Ten jaśmin, ten jaśmin nie z tego jest świata!
Na falach tych boskich haszyszy
Duch w wschodnią ojczyznę ulata,
Gdzie płonąc wśród żądz,
Z rozkoszy aż mrąc,
Wciąż hymnem miłośći pierś dyszy.

Ten jaśmin, ten jaśmin... On taki jest biały,
Jak piana nad zwodnem tem winem,
Jak słońce, co puszcz śle upały,
Jak grzywy mórz
Wśród wiru burz...
Dziewczyno, tyś jest tym jaśminem!

Fr. Kreczowski.



ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

W saloniku elegancko umeblowanym, oświetlonym przyćmionem światłem różowej lampy, leżała na kanapce połową ciała w białym, koronkowym penioarze, piękna, czarnooka Malwina. Choć znać było w jej oczach zmęczenie, błyszczały one bardziej jeszcze niż zwykle. Ironiczny uśmiech, nieznikający prawie nigdy z jej usteczek, cudnie wykrojonych, nie opuszczał ich i teraz, gdy leżąc niedbale, z rękami założonemi pod głowę, rozmawiała z ciotką, siedzącą przy stoliku i dłubiącą nad jakąś robótką. Oblicze starej damy, pomarszczone i wywiędłe, było w tym saloniku żywym kontrastem z promieniejącą całą krasą młodości, piękną Malwiną, a twarz jej wydawała się jeszcze starszą i bardziej nieprzyjemną, gdy siedziała nachmurzona i gniewna na siostrzenicę, która nie robiąc sobie nic z tego gniewu i dąsów, figlarnie oczyma ciotkę fiksowała.

— Moja kochana — wyrzekła nareszcie, podnosząc wolno głowę od robótki — po co to wszystko, na co to się przyda?

— Niby co? — proszę ciotki — zapytała Malwina, niezmieniając swej pozy.

— Zważ to sama, na czem to się skończy. Czas by ci się było już ustatkować.

— Jak to ciocia rozumie?

— No moja droga... przecież nie jesteś małem dzieckiem, ażebym ci miała tłumaczyć, że jesteś...

Zanim dokończyła, przerwała jej Malwina, prostując się na kanapce.

— Że jestem już w latach, w których powinnam wyjść za mąż, nieprawdaż. To zwyczajna piosenka cioci... Cha! cha! cha! — roześmiała się.

— A naturalnie — z powagą ciągnęła ciotka — nie masz się z czego śmiać, moja droga; trzpiotowatość twoja może się stać bardzo niebezpieczną.

— A to zabawne, doprawdy! Ciociu! jesteś nieoceniona! Więc dlatego, aby wyjść za mąż, mam się rzucić na szyję lada komu? — Jeszcze czego.

— Et! nie obrażaj pana Boga, Malwino. Miałaś tyle dobrych partyj, a odrzucałaś jednę po drugiej.

— Ależ ciociu droga, ani mi się śni jeszcze za mąż wychodzić. Zresztą ci wszyscy, co niby o mnie się starali, nie przypadli mi wcale do gustu. Nie cierpiałam i nie cierpię ich poprostu. Zresztą proszę cioci, jestem, Bogu dziękować, tak niezależna, że ani mi w głowie nakładać na szyję jarzma małżeńskiego.

— Tak, to prawda, żeś niezależna, ale pomyśl, że przyjdzie czas, kiedy ci to wszystko nie wystarczy. Niezapominaj, że przeznaczenie kobiety całkiem inne od tego, jak ty je pojmujesz, że nie zasadza się jedynie na zabawach i używaniu, ale na dopełnieniu tych obowiązków, jakie stwórca naszej płci zaznaczył.

— Mówisz moja ciociu, jak kaznodzieja z kazalnicy, ale powiedz mi, dlaczego ty sama, mimo tak pięknych zasad, jakie mi wygłaszasz, nie wyszłaś zamąż, lecz zostałaś...

— Starą panną — dokończ Malwinciu, ja się nie pogniewam o to, ale nie równaj mnie ze sobą. Ja nie byłam nigdy ani ładną, ani tak bogatą jak ty. Los zostawił mnie starą panną, i to mnie nie martwi; pogodziłam się z tem przeznaczeniem od najmłodszych moich lat i choć czułam nieraz w życiu brak czegoś, nie narzekałam, bo niemogło być inaczej. Ty zupełnie co innego. Masz wszelkie potemu warunki, ażeby być szczęśliwą i uszczęśliwić jeszcze kogoś, kogobyś pokochała, ale na to potrzeba przedewszystkiem mieć serce, a obawiam się, że ty go, Malwinciu moja, nie masz.

— Tak ciotka myśli? Nie będę się o to sprzeczała; ale gdyśmy zaczęli mówić o tem na serjo, jak sądzę z tonu, w jakim cioteczka do mnie przemawia, proszę mi powiedzieć, kogo ja miałam właściwie wybrać z tej całej rzeszy asystentów, którzy mnie swojemi adoracjami nudzili do ostateczności.

— Za surowo ich sądzisz moja droga. I z pomiędzy nich, mogłaś była znaleść kogoś, ktoby był zasługiwał na twoje względy. Naprzykład pierwszy pan Józef.

— Otóż to pierwszy. No! wiesz cioteczko, jeżeli ten wygląda na takiego, któryby mógł zapewnić takiej jak ja kobiecie szczęście w małżeństwie — odparła Malwina z lekkiem oburzeniem — to daruj, ale ja jestem wbrew przeciwnego zdania.

— A czegoż chciałaś właściwie? Człowiek na stanowisku, nie trzpiot, poważny...

— Chudy i wysoki jak tyka — dokończyła Malwina — łysawy i krótkowidz w dodatku, jednem słowem... piękny mąż.

— No! rzecz gustu, mnie on się bardzo podobał.

— Wierzę ci ciociu. Idźmy dalej, któż tam jeszcze?

— Pan Władysław... Co masz przeciw niemu do powiedzenia?

— Zupełnie nic nie mam. Bezduszny głupiec, komplemencista.

— No! a pan Artur?

— Artur? prawda, ładny chłopiec, ale to też cały jego majątek.

— A! moja kochana; masz dosyć, aby dla was obojgu wystarczyło. Zresztą człowiek z talentem, wysoko by mógł doprowadzić przy twej pomocy.

— Dziękuję pięknie. Nie mam ani chęci, ani powołania do kształcenia wielkich ludzi.

— To bardzo źle, moja droga, podzielić byś się mogła jego sławą.

— Za sławą nie gonię — przy tych słowach zrobiła grymas lekceważący ustami. — Czyś już cioteczko skończyła przegląd konkurentów do mojej osoby i mojego posagu?

— Poprzestanę na tych, których wyliczyłam, bo widzę, że z tobą Malwinciu, nie podobna mówić poważniej. Zanadto ci jeszcze pstro w głowie. Gdybym chciała wyliczać wszystkich, którym zawracałaś głowę a następnie dała im rekuzę, nie starczyło by mi dzisiejszego wieczoru. Zresztą i między nimi znalazłby się niejeden jeszcze, o którymby można pomówić na serjo. Niektórzy już się nawet pożenili — a byli dobrą partją.

— Czy o Albinie myślisz, cioteczko? — zapytała, rzuciwszy się na kanapce.

— Tak, choćby i o panu Albinie; ale *à propos* niego, już w zeszłym tygodniu chciałam zwrócić twoją uwagę Malwinciu, na wielką z twej strony niestosowność, z jaką go zaczepiłaś na balu w obecności żony. To nie wypadało, zwłaszcza po tem, jakeście się rozstali.

— Naiwna jesteś ciociu — odparła Malwina z drwiącym uśmiechem, — chciałabyś była, abym na serjo wyszła była za takiego młokosa?

— Twoja wola, nienalegałam na ciebie, ale właśnie dlatego, gdy raz było między wami skończone, nie powinnaś była nim się więcej zajmować, tem bardziej przy żonie. Wierz mi Malwinko, to nie wypadało...

— No i cóż w tem złego. Gniewało mnie to zresztą, bo jego wystąpienie było dla mnie poprostu wyzwaniem.

— A cóżci tak na tem zależało?.. Przecież nie jesteś ani nie byłaś, ani chyba niepowinnaś być o niego zazdrośną. Ożenił się, i to cię nic nie powinno więcej interesować.

Malwina nic nie odpowiedziała. Siedziała chwilę bawiąc się koronkami, któremi jej penioar był bogato obszyty. Ciotka udając wielkie zajęcie robótką, od czasu do czasu zerkała z pod oka na siostrzenicę, na której ustach zaigrał nieokreślony jakiś uśmiech.

— Wiesz co — odezwała się po chwili ciotka — ta żona pana Albina, to wcale miła kobieta.

— Podoba się cioci? — jabym powiedziała, — z tym samym uśmiechem odparła Malwina — że to jeszcze straszna gąska. A zazdrośne to musi być — Boże! — Byłożby o co?

— Zazdrośna? być może, ależ to bardzo ładnie — odrzekła ciotka, kładąc robótkę trzymaną w rękach, na stoliku. — Widocznie kocha go. Ale zkądże ty wiesz, że zazdrośna o niego. Ja bo tego nie spostrzegłam,..

Po tych słowach znowu schyliła oczy nad robótką, jakby chcąc uniknąć wzroku siostrzenicy.

— Wiem! — wyrzekła z przekonaniem Malwina. — Gdym z nim rozmawiała przy kolacji, — słyszałaś ciociu przecie — myślałam, że mnie zje oczyma. Coby to było, gdybym go tak naprawdę bałamuciła?..

Ciotka wyprostowała się nagle w swojem krześle.

— Bój się Boga Malwino! — Jak możesz nawet myśleć o czemś podobnem? — I wiesz moja droga, kiedyś sama o to potrąciła, muszę ci już powiedzieć i to, co mi na sercu leży. To spotkanie dzisiejszej nocy...

— Cha! cha! cha! zaśmiała się Malwina, — otóż jesteśmy nareszcie. Chciałaś mnie cioteczko wystrofować za moje zajęcie się Albinem na balu wczorajszym, czy tak?

— Zgadłaś, no i przyznasz sama, że było to z twojej strony szaleństwem, wyzywać całe towarzystwo. Co świat na to powie? — Aż pocierpam...

— Świat!? — zaśmiała się szyderczo Malwina. — Chyba nieznasz cioteczko tego naszego świata. Obracam się w nim i nauczyłam się nań patrzeć. Oburzają się oni na wszystko, bo im tylko o pozory chodzi. Gdy te są zachowane, wszystko jest dobrze. Byle pozory! A choćby nawet i na te nie zważać, wybaczą niejedno, gdy im się śmiało w oczy popatrzy.

— Moja droga, zasady twoje, na które dawno uważam, są tego rodzaju, że boję się o ciebie... i o twoją przyszłość... Malwinko, niebezpieczna ta droga — i wierzaj mi, nie wyzywaj świata, który ci ciernie pod nogi posypie, po których stąpać będziesz i ranić się boleśnie. Jesteś młodą, piękną, a są to takie skarby, jakich nie dostaniesz za pieniądze, takie skarby, których nie należy marnować, tak jak ty je marnujesz.

— Doprawdy cioteczko — przerwała jej Malwina — gdyby nie poważny ton, z jakiego zaczęłaś, śmiałabym się do rozpuku, ale nie chcę ci, moja droga, robić przykrości. Jestem młodą, nie tak młodą, ażebym nie pojmowała, co robię. Piękną? może, to już nie mnie samej o tem sądzić — mimo to może mimowolnie spojrzała w duże zwierciadło, obok niej wiszące. — Jestem przedewszystkiem bogata i samowolna. Oto dwie cnoty, przed któremi się korzy tłum moich wielbicieli. Gdyby nie one, wierz mi cioteczko, aniby żaden z nich na mnie nie spojrzał...

— Uprzedzona jesteś względem nich, moje dziecko.

— Ależ nie, ciociu — jestem tego zupełnie pewną. Każdy z nich pojedynczo, zowie mnie aniołem, bóstwem, marzeniem, ach! czem tam jeszcze mnie nie zwą!... Wszyscy razem zowią mnie bezduszną kokietą. Czy myślisz ciociu, że mi się nigdy o uszy nie obiły te wyrazy?

Teraz ciotka, słysząc wywody swej siostrzenicy, milczała, bo nie umiała na nie odpowiedzieć. Zdobyła się przecież na odpowiedź.

— Przyznać jednak muszę, żeś ich swem postępowaniem z nimi, sama zmusiła do nazywania cię...

— No dokończ, dokończ — kokietą... Mnie ten epilet nie zraża, przyzwyczaiłam się do niego.

— Uparta jesteś, moja Malwinko. Ale wracam do pana Albina. Przecież nie zechcesz go na serjo bałamucić?

— A! wiesz co cioteczko — klasnęła w dłonie, śmiejąc się Malwina. — To byłoby paradne, gdybym się tak na tej głupiej gęsi zemściła.

— Fe! kto widział kobietę uczciwą tak brzydko nazywać?

— Bo mnie gniewa. I ten pan Albin gniewa mnie także. Ale, ale, wiesz cioteczko, czybyś ty zgadła, że on tylko dla mnie był na wczorajszym balu. Tylko dlatego przyszedł, ażeby mnie zobaczyć. Sam mi to powiedział...

— I tyś mu uwierzyła?

— A dlaczegożby nie? Wiedziałam, że przyjdzie, przeczułam go, spodziewałam się i nie zdziwiłam się wcale, gdy jak błędny rycerz pożerał mnie oczyma z za filaru sali.

— I właśnie dlatego powinnaś go była zdaleka trzymać od siebie, ażeby nie dawać światu powodu do rozszerzania plotek. Kto wie nawet, czy się to już nie rozniosło...

— A w takim razie — dorzuciła Malwina drwiąco, wydymając usteczka — w takim razie ja już na to nic nie poradzę. Chyba nie żądasz cioteczko, ażebym sobie zadawała z tego tytułu pokutę. Nie widzę w tem nic złego, gdy się ze znajomym mężczyzną parę chwil na rozmowie spędzi.

— Tak, niby w tem złego nie było, — odparła ciotka — gdyby to był człowiek wolny, — ale żonaty?..

— Ach! to paradne! — Więc dlatego, że ktoś żonaty, to nie wolno mi już słowa do niego przemówić? To doskonale.

— Widzisz, świat to zupełnie inaczej pojmuje, niż ty. Rozmowa rozmowie nie równa. Obserwowałam was oboje i oboje nie wyglądaliście wcale na parę ludzi, wiodących zwyczajną salonową rozmowę. Gdyby do ciebie można przemawiać rozsądnie, byłabym ci zaraz zwróciła uwagę.

— Szkoda, że ciotka tego nie zrobiła... Boże! jakiż to ten nasz świat podejrzliwy. A gdyby Albin był moim przyjacielem? czyż także nie byłoby mi wolno z nim porozmawiać.

— Darujesz moja kochana, ale świat nie zna przyjaźni między ładną, młodą, wolną panną, a młodym mężczyzną; taka przyjaźń musi mu się wydać co najmniej dziwną.

— A więc? więc i ty cioteczko przypuszczasz, że się kocham w Albinie?

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Potem poszedł minister do dalszych pokojów, doszedł do Mortensena, gdzie dawniej jak wiedziano, jego noga nie postała, szerząc wszędzie postrach i lęk swymi kluczami i łoziną nadmorską, o której nikt nie mógł sobie przypomnieć, o której nigdy nikt nie słyszał.

Mortensen badał trochę złośliwie:

— Szef biura Delphin już poszedł, może ten o czemś wie.

— Szef biura wyszedł w interesie, a prócz tego sprawa ta musiała się u niego znajdować — odparł minister surowo — chcę aby ta sprawa natychmiast była załatwiona. Akty muszą się znaleść; zrozumiano, moi panowie? Akty muszą się znaleść i to natychmiast.

Minister wrócił do biura i cały gmach ministerjalny stał się nagle podobnym do jakiegoś mrowiska. Drzwi otwierały się i zamykały, ukazywały się zafrasowane twarze i znikały, szuflady i półki wypróżniano, rozwiązywano pliki, podczas gdy referendarze biegali po schodach na górę i na dół, docierali nawet na strych, gdzie grzebali w zakurzonych papierach. Strach wzrastał z minuty na minutę, a podczas tego minister otwierał ciągle drzwi i zapytywał:

— Jeszcze nie?

Nieszczęśliwy sekretarz ekspedycyjny kręcił się jak bąk. Całe to zamięszanie koncentrowało się tylko w jednem pytaniu, aż nareszcie cały budynek wydawał tylko jedno westchnienie:

— Gdzie jest Mo? Czy Anders, ten wszechpotężny, już wcale nie przyjdzie?

Nareszcie przyszedł. Cichy, blady i uśmiechnięty wsunął się do biura ministra, właśnie gdy było tam mnóstwo przerażonych urzędników ministerjalnych, starających się dowieść, że ta nieszczęśliwa łozina nadmorska nie znajdowała się nigdy w ich rękach.

Wszyscy odetchnęli lżej, gdy się pokazał mały człowieczek, a minister zapytał go czemprędzej, czy czegoś nie wie o sprawie.

— Wiem — odparł Mo — leży w chaosie...

— W czem? — zapytał minister.

— W chaosie Mortensena... — odparł Mo z ukrywanym uśmiechem.

— Jeżeli zatem wiecie, gdzie są dokumenty, to przynieście je natychmiast! — rozkazał minister.

Anders Mo poszedł; Mortensen wściekły poszedł za nim wraz z innymi.

— Czy to był twój brat? — zapytał naczelnik pilotów.

— Tak mi się zdaje; poznałem go po mowie — odparł Njaedel niepewnie — ale wydaje mi się, że trochę zmalał... I, taki już stary!

Ministrowi przyszło na myśl, że ta scena może na dwóch wieśniakach niekorzystne zrobić wrażenie, zwrócił się więc do naczelnika pilotów i rzekł uprzejmie:

— Mogę was poprosić o podanie mi waszego nazwiska?

— Laurenty Boldeman Seehus.

Minister zdumiał się, usłyszawszy takie dźwięczne nazwisko, a gdy dowiedział się jeszcze, że Seehus był naczelnikiem pilotów, wziął krzesło i siadł tuż przy nim; klepał go nawet poufale po kolanie, mówiąc do niego:

— Powiedzcie mi też, panie naczelniku pilotów, niekiedy, to tam na wybrzeżu musi być i ciężkie i przykre życie!

— O tak, wasza wysokość! Skoro ludzie podczas burzy wyjadą na morze, to już źle! Całkiem źle.

— Tak, tak — rzekł minister i strzepnął palce — Bardzo często myślę o tych słynnych na cały świat, nieustraszonych pilotach, jakich posiadamy na naszych niebezpiecznych brzegach. Bardzo mnie to cieszy, iż mogłem jednego z nich poznać osobiście...

— He? — zapytał naczelnik pilotów niepewnie — ja nie jestem pilotem i Njaedel także nie.

— Hm! — mruknął minister i przeszedł na inny temat. To pewnie jest wielkie i poważne źródło dochodu, to rybołówstwo śledzi tam na zachodzie w waszym okręgu?

— O tak, dla tego, który coś złapał... — odparł naczelnik pilotów, zauważając przytem, że minister jest bardzo żartobliwym panem.

— Życie pełne ruchu i werwy przy wielkiem rybołówstwie — ciągnął minister dalej — takie wielkie zebrania ze wszystkich części kraju, muszą bezwarunkowo wywierać dodatni wpływ na ludność i pomagać do jej rozwoju!

— Zwykle się to bójką kończy, wasza wysokość — odparł naczelnik pilotów.

— Hm, zapewne, małe starcia; ale powiedz mi pan... — minister znowu zmienił temat — jeżeli tyle ludzi razem się zbierze, gdzie oni się podziewają, gdzie nocują?

— Ach tak, wasza wysokość — odpowiedział Seehus z noclegami to licha sprawa; większość kładnie się na brzuchu i przykrywa się, o ile to jest możebnem, nogami.

— Bum-bum-bum!... — mruknął minister i zaczął się przechadzać po pokoju, podbrzękując kluczami.

Naczelnik pilotów, który nie mógł sobie z tego zdać sprawy, iż dotknął ministra, lecz przeciwnie uważał, iż minister jest bardzo przyjycielskim, trącił Njaedela:

— Zdaje mi się, że trzebaby go się zapytać o drogę?

Njaedel skinął głową i naczelnik wstał.

— Nie chcę przeszkadzać, wasza wysokość, ale mam coś, o co chętniebym się zapytał.

— Do usług, panie naczelniku pilotów!

— Czy wasza wysokość jest przełożonym nad wszystkimi sołtysami, poborcami podatkowymi i kapitanami, czy nie?

— O, naturalnie! — odparł minister.

Oczy naczelnika zabłysły radością. Nareszcie chwycił swego; teraz będzie mógł mówić o drodze i wylać swój cały gniew, który przez tak długi czas zbierał się w jego duszy.

Zaczął mówić z właściwem sobie krasomówstwem, z mowy jego jednak minister nie mógł wiele zrozumieć.

— O jakim kawałku drogi mowa? — zapytał wskazując na wielką mapę na ścianie.

Naczelnik, który jeszcze z swych morskich czasów przyzwyczajony był do map, zorjentował się szybko. Minister zasadził na nos złote binokle, wziął z futerału cyrkiel i odmierzył kawałek z wielką dokładnością.

Następnie rzekł w swój zwykły ujmujący sposób:

— Widzi pan, panie naczelniku pilotów — jestto mapa sieci naszych dróg. Wyobraź pan sobie, że te wszystkie czerwone, niebieskie i żółte linje wyciągnięte są w jedną, to będzie to długość bardzo przyzwoita, wszak prawda?

— O tak — przyznał naczelnik, który nie mógł pojąć, do czego to zmierza.

— A teraz, dla porównania, przypatrz się pan odległości jednego końca cyrkla od drugiego — minister pokazał mu cyrkiel — widziesz pan, że odległość nie jest większa jak pól ćwierci cala.

Naczelnik gapił się to na cyrkiel, to na ministra naprzemian.

— Widzisz pan, kochany panie naczelniku pilotów, panie Seehus! Tak małym jest ten kawałek drogi, o którym pan mówisz w porównaniu z całą siecią dróg krajowych; i czy nie przyznasz pan sam, że może — jakby tu powiedzieć — że może to trochę za wielkie wymaganie, aby ten, który ten cały skomplikowany system komunikacyjny musi mieć w głowie, miał jeszcze rozciągać swoją troskliwość, swoją specjalną troskliwość na taki nieznaczny ułamek całości? Na taki ułamek, jak ten tu?

Minister znowu podsuuął Seehusowi cyrkiel przed oczy.

Naczelnik pilotów otworzył gębę szeroko. Nie zrozumiał tego dobrze, czul jednak, że broń i tym razem wysuwa mu się z ręki i to samo uczucie, które w nim nurtowało oddawna, powróciło z dawną siłą.

Tymczasem otworzyły się drzwi i wszedł Anders Mo w towarzystwie Mortensena, sekretarza ekspedycyjnego i innych, którzy stanęli we drzwiach i w przedpokoju, aby usłyszeć, jak się ta ciekawa sprawa rozwikła.

Mo, pomimo protestów Mortensena, przewrócił cały chaos do góry nogami i na samym spodzie półki znalazł zmięty, żółty zwój papieru, który wyciągnął natychmiast z największym spokojem.

Wszyscy w milczeniu godzili się na to, że złośliwy Mo z umysłu schował te dokumenty. Kancelista Mortensen mruczał ponuro:

— Ten mi dojedzie!

Minister założył na nos złote binokle i rozwinął papiery, z których wzbiła się chmurka kurzu.

— Tutaj znajduje się numer bieżący, napisany własną pańską ręką, panie sekretarzu! Porównaj pan numer bieżący!

Mały człowieczek popędził jakby sam był tym numerem bieżącym; zanim jednak dobiegł do swego protokołu, cofnięto go głosem zwiastującym katastrofę.

Minister mianowicie, przeczytał kilka wierszy prośby i zawołał nagle:

— Ale jakim cudem ten dokument znajduje się u nas?!

Gdy przyszedł sekretarz ekspedycyjny, położył minister Bennechen, swój wielki, biały palec wskazujący pod jednem słowem tak wyraziście, że od paznokcia pozostał znak.

— Co tu napisano? Tu stoi wyraźnie: dobra duchowne.

— Biskup w Christjansand — dorzucił Njaedel jednym tchem.

— A zatem sprawa ta należy do ministerstwa wyznań, a nie do nas... — rzekł minister gniewnie.

— Tak, ale, ale... — zaczął sekretarz ekspedycyjny — nie przypominam sobie już teraz dokładnie — nie, jako żywo nie! Ale może być, iż uważałem wtedy, że przedmiot sprawy jest tego rodzaju...

— Przedmiot sprawy! — przerwał mu minister bardzo surowo — tu nie ma mowy o przedmiocie sprawy, lecz o zwyczaju i porządku, praktykowanym zwykle w ministerstwie, a wskutek którego wszystkie sprawy odnoszące się do dawnych dóbr kościelnych, należy odsyłać do ministerstwa wyznań. Jestto stara reguła, którą pan sekretarz ekspedycyjny doskonale znać powinien. Mo, zbierz te dokumenty i zanieś je do ministerstwa wyznań.

Minister wyprostował znowu swą imponującą postać i podał papiery woźnemu. Zebrana zgraja rozproszyla się, a sekretarz ekspedycyjny siadł i zaczął przybitym, ponurym wzrokiem patrzyć na „bieżące numery".

Njaedel ścigał dokumenty oczyma, a gdy brat jego zniknął z nimi bez szelestu, zawołał:

— Kto miał słuszność?

— Nie, mój dobry człecze — rzekł minister — tego wam powiedzieć nie mogę. Jeżeli jednak po pewnym przeciągu czasu zwrócicie się z zapytaniem do ministerstwa wyznań, to z pewnością dadzą wam tam zadawalniające wyjaśnienia. Żegnam panów, żegnam! Było mi bardzo przyjemnie, że mogłem wam się na coś przydać.

Po tych słowach wypchnął ich uprzejmie za drzwi i zamknął je.

Njaedel szedł jak oszołomiony; teraz już zupełnie nic nie rozumiał. W naczelniku jednak gotowało się silniej; a gdy Mortensen skłonił się przed nim uroczyście, wówczas jego dobroduszność zmieniła się w dzikie szaleństwo: chwycił butelkę atramentu, która stała na oknie, i cisnął nią z całej siły w Mortensena.

Redaktor schylił się czemprędzej, tak że butelka rozbiła się o ścianę za jego biurkiem. Znowu powstało ogromne zamięszanie w przyległych pokojach, podczas gdy naczelnik pilotów i Njaedel zmykali pośpiesznie po schodach.

Przerażenie z powodu tego niesłychanego zamachu było tak wielkie, że nikt nie myślał o ściganiu zbrodniarzy. Podczas jednak, gdy coraz więcej ludzi gromadziło się dokoła ogromnej plamy atramentowej, z której wypływały liczne czarne smugi, coś walczyło w duszy referendarza Hiertha, coś, co chętnie chciał wypowiedzieć; nie wiedział tylko, czy to dowcip, czy też kolosalne głupstwo; pod tym względem doświadczał nieraz gorzkich rozczarowań. Nareszcie wziął na odwagę i szepnął półgłosem:

— Wartburg!

Był to rzeczywiście dowcip; serce referendarza omal nie pękło z dumy. Gdy się jednak pokazało, że go zrobił Hierth, powstało wielkie, niekłamane zdziwienie; a byli przytem ludzie, którzy od tej chwili powzięli podejrzenie, że Hierth przecież nie jest głupi...

Jednomyślnie jednak postanowiono, że miejsce Mortensena ma się odtąd nazywać „Wartburg“ i że monumentalną „plama atramentowa“ nie ma być nigdy startą lub zamalowaną. A przylepiła się tak silnie do miejsca Mortensena, — jeszcze długo potem, gdy ten zamienił swoje miejsce na lepsze — że były widoki, iż tak plama, jak dowcip Hiertha istnieć będą, jak długo istnieć będzie ministerstwo; a to prawdopodobnie ma oznaczać — aż do sądnego dnia...

XVIII.

Była druga godzina.

Delphin urządził salony Bennechena w stylu, który według jego twierdzenia był w modzie w Tuilerjach podczas drugiego cesarstwa.

W środku pokoju były wolne miejsca, po których można było chodzić; w rogach jednak i pod firankami przy oknach były ustawione taburety i fotele, tak że dwie, trzy, najwyżej cztery osoby mogły się tam zebrać na pogadankę.

Przy swym niezmordowanym talencie wynalazczym i przy swych szczęśliwych pomysłach udało mu się rozproszyć zły humor pani Bennechen, w każdym razie w części przynajmniej, podczas gdy szambelan ze swej strony notował sobie pożądane szczegóły co do nagłego wyjazdu obojga nieudałych.

W salonie stołowym stał stół pokryty małymi płaskimi talerzykami, na których znajdowało się wyszukane śniadanie z winami deserowemi i szampanem. Było to w tym celu, aby każdy jadł bez krępowania się, tak jak przychodził, gdyż uroczystość wjazdu zajmowała prawie wszystkich w ten lub ów sposób, tak, że każdy przychodził i wychodził, jak mu się podobało.

Również nie było pewnem, o której godzinie pokaże się sam gospodarz; miał do czuwania nad wielu rzeczami, a prócz tego — jak z tem się zwierzyła pani ministrowa:

— Daniel jest w okropnym humorze!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wiadomości artystyczne i literackie.

Michał Wołowski napisał powieść historyczną pt: „Marysieńka“.

„Słownik języka polskiego“ znajduje się obecnie pod prasą w Warszawie.

Sztuka E. Grabowieckiego „Na bruku miejskim“ doznała w Warszawie średniego powodzenia.

Eugenjusz d'Albert pracuje nad wykończeniem jednoaktowej opery dramatycznej pt.: „Kain“. Libretto tego utworu napisał dramaturg i estetyk niemiecki Henryk Bulhaupt.

Marja Gerszonówna, córka zasłużonego profesora, otrzymała jedną z nagród w tegorocznym Salonie paryskim, za grupę z gipsu: „Ucieczka z Egiptu“.

P. Zofja Czaplińska artystka teatru lwowskiego, otrzymała pozwolenie na szereg gościnnych występów w Warszawie, na scenie teatru letniego.

Teatr Brunettiego w Bolonji, przeistoczył się na teatr im. Eleonory Duse.

Pani Adam, znana publicystka francuska, udała się na zaproszenie księcia czarnogórskiego do Cetynji, gdzie dla dworu będzie mieć kilka odczytów.

Al. hr. Fredro doczekał się wreszcie taniego wydania, dzięki warszawskiej firmie nakładowej S. Lewentala, która w tych dniach puściła w świat zupełne wydanie komedyj genjalnego pisarza w 3. wielkich tomach o 1600 stronicach druku. Wydanie to zawiera wszystkie komedje Al. hr. Fredry (ojca) z wyjątkiem „Obrony Olsztyna“. Trzy tomy kosztują 3 rs.

Nowa opera w Paryżu zainauguruje swe przedstawienia w tych dniach operą Pawła Puseta, usnutą na tle Szekspirowskiego utworu: „Wiele hałasu o nic“.

Dyrektor teatru poznańskiego p. Rygier zaproszony został przez dyrekcję teatrów warszawskich na szereg gościnnych występów.



Treść: Gustaw Manteuffel — *Pierwiastki cywilizacji nad dolną Dźwiną;* Fr. Kreczowski — *Erotica* (Poezje); Adam Krajewski — *Amor vixit* (Nowela — c. d.); Aleksander Kielland — *Pod sztandarem pracy* (Powieść — c. d.); *Wiadomości artystyczne i literackie.*